

Natomiast nieco później, gdy droga dojechała kolejnego skretu, tym razem na lewo, moja marszruta poczęła prowadzić wzdłuż jeziora Głuchego. Miałem je po swojej prawej ręce. Było zamrożone na całej powierzchni. Nie skuwał go jednak gruby lód. Świadczyło o tym zmienne zabarwienie poszczególnych jego fragmentów. Z drugiego brzegu jeziora dobiegało szczekanie. Poza tym dźwiękiem panowała zupełna cisza.

Torby postawiłem na zeszytniałej trawie. Zacząłem przyglądać się jezioru i jego otoczeniu. I pomyślałem wówczas o definicji wypowiedzianej przez Josifa Brodskiego:

(...) woda (...) forma stężalego czasu.

Wywołał ją z mojej pamięci, niewątpliwie, widok zamrożonego jeziora. Za jego sprawą ów czas prezentował się, jako jeszcze bardziej stężały, przynajmniej przy powierzchni. Lecz równocześnie był wolno płynący. Jako że również przez to jezioro toczyła leniwie swe wody, wspomniana, Pawłówka. Będąca zresztą lewym dopływem Czarnej Hańczy.



Fot. Dariusz Pawlicki

Fragment jeziora Głuchego

Po kilkunastu minutach zatrzymałem się ponownie. Tym razem, aby spojrzeć na ostatnie, od strony południowej, gospodarstwo na Głuszynie. A dokładnie, na popadające w coraz większą ruinę, od około trzydziestu lat, niewielkie budynki. Od śmierci ostatniego właściciela, który nie miał dzieci, jego czterech czy pięciu braci nie mogło bowiem dojść do porozumienia w sprawach własnościowych dotyczących zabudowanej parceli, jak również gruntów rolnych. Tego samego nie było w stanie dokonać także kolejne pokolenie spadkobierców. Z tym, że było ono znacznie liczniejsze. Ale czas, absolutnie nie zainteresowany sprawami własnościowymi, pamiętał o wspomnianym gospodarstwie, jak zresztą o wszystkim innym. I wolno, lecz systematycznie, bierze je w posiadanie. To znaczy unicestwia wszystko to, co stworzył człowiek.

Ze wzniesienia, na którym znajdują się ruiny domu i budynków gospodarczych, rozciągał się kiedyś rozległy widok na całe jezioro Głuche i pagórkowatą okolicę. Obecnie jest on znacznie ograniczony za sprawą młodnika sosnowego, który wyrósł na zboczu wzniesienia, pomiędzy tym, co było kiedyś domem a brzegiem jeziora. Nie pamiętam, aby rosły tam jakiegokolwiek sosny, gdy zawiątałem w to miejsce pierwszy raz, przeszło dwadzieścia lat temu. Za to utkwiło w mojej pamięci jakieś duże drzewo iglaste rosnące tuż obok domu, w którego oknach wisały wówczas jeszcze strzepy firanek. Był to chyba samotny

modrzew. Z tamtej wizyty zapamiętałem jeszcze i to, że wiało niezwykle silnie od strony jeziora. Teraz zaś rośnie tam bardzo dużo drzew. Żadne z nich nie było jednak okazałe.

Dotarłszy w tych zapiskach do bardzo konkretnego miejsca nad jeziorem Głuchym, sięgnąłem do prowadzonej na własny użytek *Księgi cytatów*. Korzystam z niej, gdy uznam, że warto posłużyć się cudzą myślą (czy aby na pewno jest ona jeszcze cudza, skoro wiedzę, jakby odrębne życie?). Czynię to nie tylko dlatego, aby zyskać wsparcie. Także po to, aby jej autora, przywołać stamtąd, gdzie przebywa. Tak bowiem się składa, że prawie zawsze są to autorzy nieżyjący. Cytat, którym chciałbym posłużyć się na koniec niniejszego tekstu, pochodzi z *Malarza życia nowoczesnego* autorstwa Charlesa Baudelaire'a i brzmi tak:

Przyjemność oglądania teraźniejszości, nie zależy tylko od piękna, które ją stroi, ale również od jej cechy zasadniczej – że jest teraźniejszością.

Bo o roztaczającej się przed moimi oczami teraźniejszości, o „teraz”, o jego niepowtarzalności, myślałem patrząc 21 grudnia 2011 roku, na zamrożone jezioro Głuche. O tym myślałem ja, myślał Baudelaire, jak też, o czym jestem przekonany, ostatni mieszkaniec domu na Głuszynie, na którego na wpół zrujnowanej ścianie, nie tkwi już niewielka tabliczka z nazwą wsi i numerem domostwa. Nie mógł bowiem być obojętny wobec tego miejsca. Ono zresztą „nie pozwoliłoby” na to!

* Staroobrzędowcy (zwani także raskolnikami, a niewłaściwie – starowiercami bądź starowierami) – przeciwnicy zmian wprowadzonych w prawosławiu, w latach 1654-1657, przez Patriarchę Moskwy Nikona. Wkrótce ruch uległ podziałowi na popowców (uznawali ideę kapłaństwa i hierarchii kościelnej) i bezpopowców (odrzucał jakiegokolwiek strukturę kościelną i kapłaństwo sakramentalne). W następnych latach oba odłamy zaczęły podlegać dalszym podziałom. Poddawani okrutnym prześladowaniom na terenie państwa moskiewskiego, staroobrzędowcy częściowo wyemigrowali. Osiedlili się m. in. na Suwalszczyźnie w Wielkim Księstwie Litewskim.

Nad Sanem rodzi się poezja

Z niedosytu wieczornej ciszy, / sen zaprosił na ucztę wiersz – tak Bogdan Stangrodzki zaprasza na wieczorną poetycką ucztę w wierszu „Poetka we śnie”. Wierszu, który zamieszczony został w almanachu poetyckim „Wiersze znad Sanu”. Na ile jest to zaproszenie reprezentatywne dla 16 twórców obecnych w almanachu – w tym jednego, który wybrał formę aforyzmu? Na ile znamienne dla kilkudziesięciu utworów w nim zamieszczonych?

Mirosław Osowski, który zamiast wierszy zaproponował wieńczące ten zbiór aforyzmy, jest nie tylko wydawcą almanachu, ale także jego *spiritus movens*, inicjatorem przedsię-

wzięcia i założycielem Stalowowolskiego Klubu Literackiego, który zrzesza poetów prezentujących się na kartach almanachu.

Każda nowa inicjatywa, promująca działania twórcze w środowisku, jest niezwykle cenna, tym bardziej jeśli nie jest kolejną formą prezentacji znanych już i posiadających pewien status twórców, ale obok nich daje szansę twórcom niemającym takiego dorobku, którzy nie posiadają wydanych zbiorów, nie mieli za wiele okazji, by zaprezentować się jako twórcy. Mirosław Osowski, członek rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, potrafił zjednać dla tej nowej inicjatywy sporą ilość twórców, wśród których znaleźli się także inni członkowie ZLP – Małgorzata Żurecka, Bogdan Stangrodzki i Ryszard Mścisz, jak również poeci związani kiedyś lub obecnie ze Stowarzyszeniem Literackim „Witryna” w Stalowej Woli: Elżbieta Ferlejko, Mirosław Grudzień, Jacek Kotwica, Marta i Grzegorz Męcińscy, Andrzej Moskal i Wiktoria Serafin. Na łamach almanachu prezentuje się jednak – z mniejszą lub większą ilością wierszy – spora grupa twórców, którzy nie mieli wielu okazji, by zaprezentować swój dorobek: Henryk J. Giecko, Hiacynt Górnicki, Marta Sienkiewicz, Dariusz Sienkiewicz i Beata Werminińska.

Taki stan rzeczy powoduje, że almanach jest zróżnicowany tematycznie i formalnie: znajdziemy tu wiersze dla dzieci (Marta Sienkiewicz), utwory będące apologią natury, zwłaszcza lokalnej (Henryk J. Giecko i Hiacynt Górnicki) czy zrodzone z filozoficznej refleksji nad życiem (Andrzej Moskal). Można powiedzieć, że część twórców zaproponowała utwory bardziej jednorodne tematycznie, inni zaś bardziej zróżnicowane zestawy wierszy. Pod względem formalnym także poezja w almanachu balansuje między tradycyjnym a bardziej nowoczesnym wzorcem rytmicznym i formą wiersza. Dopełnia owej różnorodności zaś wieńczący zbiorów zestaw aforyzmów Mirosława Osowskiego.

Świat nie jest, / świat się wiecznie zaczyna – pisze w „Przybosiowskim” wierszu „Gwoźnica” Marta Męcińska. Zapewne nie tak wielu autorów almanachu podąża twórczą drogą wybitnego poety Awangardy Krakowskiej, ale ta formuła twórcza zdaje się im przyświecać. Na nowo, po swojemu podejmują jednak znane, popularne motywy, opisując bliską sobie (nie tylko nadszańską) rzeczywistość. Słowa są niczym dźwięki, z których „czyjeś dłonie złożyły partyturę” – jak w swoim wierszu *** (*w ukryciu wysłuchasz*) napisał Hiacynt Górnicki. Warto zapoznać się z tymi utworami, odkryć jak czynią to twórcy almanachu „Wiersze znad Sanu”. Ta obiecująca inicjatywa Mirosława Osowskiego przyniosła niezły efekt – wypada wierzyć, że będzie załącznikiem czegoś bardziej trwałego, co zaowocuje nie tylko kolejnymi almanachami, ale także innymi przedsięwzięciami, formami działania.

Ryszard Mścisz

Wiersze znad Sanu. Almanach poetycki. Pod red. Mirosława Osowskiego, Stalowa Wola 2020.